



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Wróżka leśna.



Gdy kto latem spocznie w lesie,
Na mchu świeżym wśród paproci, —
Kiedy lśniących kółek tkanką
Słońce mchów kobierce złoci, —
Przylatuję niewidzialna
Z cichym szmerem, niby muszka...
Bo ja jestem wróżka leśna,
Bo ja jestem leśna wróżka.



Ukojeniem i wspomnieniem
Z drzew pogwarem starszym szumię;
Młodym niosę czar nadziei
W słodkich, świeżych woni tłumie;
Dzieciom szepcę, jak piastunka,
Tajemniczą baśń do uszka..
Bo ja jestem wróżka leśna,
Bo ja jestem leśna wróżka.



Lecz się kryję, lecz uciekam
Do najgłębszej borów głuszy,
Gdy po pięknym, Bożym lesie
Kroczy ktoś z czerstwością duszy,
Ktoś, którego tylko własnych
Spraw obchodzi ciasna dróżka..
Nie dla takich czar przyrody,
Nie dla takich leśna wróżka!

Ig. B.



PRZEMOWA Ojca Świętego Piusa X-go do młodzieży polskiej.

Przed dwoma tygodniami pisaliśmy w „Wieczorach“ o pielgrzymce do Rzymu młodzieży polskiej ze szkół galicyjskich; przytaczaliśmy również w streszczeniu przemówienie, z jakim się zwrócił do Papieża przewodnik główny pielgrzymki arcybiskup Bilczewski. Dziś podajemy w tłumaczeniu z łacińskiego odpowiedź Piusa X do polskiej młodzieży.

„Niech ci będą dzięki, czcigodny bracie, który w pięknej przemowie, przedstawiając Nam ukochanych synów, przyniosłeś radość i pociechę duszy Naszej. Gdy bowiem młodzież zawsze i osobliwie leży nam na sercu, nie możemy dostatecznie wyrazić, ile nam radości przyniósł widok młodzieńców z narodu polskiego, otoczonych wspomnieniami sławnych czynów ojczyzny i którego przywiązanie do Stolicy Świętej i pobożność są nam dobrze znane.

„Są oni bowiem duchem braćmi tych, którzy jak pięknie przypominałeś, na początku XIII wieku, porwani gorącym zapałem religijnego ducha, w tak wielkiej liczbie pociągnęli do Syrii i Palestyny, aby miejsca uświęcone przez tajemnice naszego Zbawienia, odebrać i nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego do katolickiej wiary nawrócić.

„Są oni synami owych ojców, którzy wobec drżącej Europy napadom potężnych wrogów przeciwstawili obronę przez własne piersi i w pierwszym rzędzie stawali do walki. Oni to byli wiary i cywilizacji silnymi obrońcami, wiernymi strażnikami. Ci zaś tutaj są młodzieżą, która wzmocniona przez cnotę, wystrzegając się błędów wieku i przykładu złych ludzi, gorliwie dąży do cnot chrześcijańskich i pragnie przede wszystkim służyć innym za przykład, aby było jaknajwięcej takich, którzyby się przyłączyli wspólności przykładowego obcowania.

„Gdy zatem was, ukochani synowie, godnych cnot ojców waszych, z radością tu oglądamy, zaszczytnymi dążeniami waszemi z wszelką, jak na to zasługuje, pieczołowitością śledzimy i duchowi waszemu, tak jak dotychczas otuchy dodać chcemy, abyście w naukach waszych sławy dosiagnęli, dochowując jednocześnie Bogu i Jego kościołowi wierności. Jeżeli więc na tej drodze wiernie wytrwacie, jesteście pewni, że światły wasz przykład wyjdzie wielu na dobro, tak że pobudzeni nim i przerażeni smutnym stanem tych, którzy

hołdują błędom wieku, do was się przyłączą i w walce w dobrej sprawie będą starali się dorównać waszej gorliwości.

„Wierzmy, że uzyskanie to szczęśliwie, gdyż znamy waszą karność, zwłaszcza gdy poznaliśmy waszych dyrektorów i profesorów, których z radością widzimy wielu tutaj obecnych, a którzy zjednoczonymi siłami i radami swojemi pracując gorliwie, aby umysł was wszystkich zasilone dobrodziejstwem wiary katolickiej i z jej pomocą wzmocniły się i wydoskonaliły.

„Wam więc dlatego, wybrana młodzieży, profesorowie i tobie czcigodny Bracie, którzy wszyscy osobliwą wiedzeni gorliwością do Nas przybyliście, każdemu z osobna wdzięczność Naszą wyrażamy i jednocześnie prosimy, abyście za powrotem do kraju, ziomkom waszym, których za najdroższych synów uważamy, Naszą ojcowską życzliwość wyrazili, którym jak i waszym rodzinom, jakoteż i całemu krajowi dla uproszenia darów Nieba, Apostolskie błogosławieństwo Nasze, z pełnego serca w Boga udzielamy“.



Z. Morawska.



Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Miał nawet wielką ochotę przysunąć się bliżej, ale widząc, że żaden z dworzan tego nie czyni, pozostał na uboczu, bliżej wejścia wraz z kilkoma innymi, którzy jak i on, nie mając co robić, przypatrywali się przychodzącym.

— Byle mi tylko nie kazali skrobać po pargaminie albo i bibule, jak oto ci tam, co siedzą na uboczu przy stole—rozważał, poglądając na kilku młodzieńców, piszący pod kierunkiem niemłodego z wielką głową, na której kępkami, jak żyto na niedbale nawożonej roli, wyrastały krótkie, szczecinowate włosy, pozostawiając resztę głowy огоłoconą.

Jegomość ów, wezwany teraz przez Konięckiego, zerwał się i drobniutkim krokiem podreptał do jasnie wielmożnego wojewody, przyczem z taką fantazją machał zbyt długimi na jego małą postać rękawami błękitnego kontusza, że niby skrzydła wiatraka wciąż koło jego głowy latały.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Mikołaj.

I nie mogąc powstrzymać ni śmiechu ni zdziwienia, zapytał najbliższego stojącego:

— Czy to dla krotoczwili takich ucieśszych dyabłów jw. wojewoda na swym dworze chowa?

Lecz zapytany w miejsce odpowiedzi skarcił go surowem wejrzeniem, a odsunawszy się, dał tem poznać niestosowność rozmowy i śmiechu.

Szczerściem śmiech nie doleciał daleko, lecz ci, co go dosłyszeli, wyciągali szyje jak żorawie, aby onego śmiałka zobaczyć.

Najbliżej zaś stojący z wielkiem zgorszeniem na nowicyusza spojrzeli, a niejeden pomysłał:

— To ci rubacha, nawet z grubego wióra nie oskrobany.

Mikołaj czuł wprawdzie całą niestosowność wybuchu swego, nie tracił jednak rezonu, je-no wyprostowawszy się, na spojrzenia drwiącem spojrzeniem odpowiadał, a mrugając to jednym to drugim okiem, w własnem przekonaniu się usprawiedliwiał.

— Cóż to zaś, kościół, czy co, że nie wolno się roześmiać i głosu podnieść...

Wtem tenże sam jegomość z wielką głową i rękawami jak wiatraki, po krótkiej rozmowie z wojewodą wrócił na swoje miejsce.

Gdy przechodził, młodzież z uszanowaniem skłaniała głowy, starsi zaś z życzliwym a przyjaznym uśmiechem nań poglądali.

Mikołaj nie śmiał się już z jego nieforemnej postaci, lecz z podziwem patrzył na okazowaną mu życzliwość a w duchu myślał:

— Osobliwy dwór, na którym taki niedołudek atencję odbiera.

— Sekretarz wojewody ma snąć dziś dużo na głowie, bo bez żadnego konceptu, do pracy się zabiera — szepnął ktoś ze starszych.

— Taka głowa jak Nikodema Psarskiego i pracy podoła i na krotchwilę czas najdzie — odrzekł ktoś inny również szeptem.

Od strony wojewody rozległo się uderzenie srebrnego młotka w kowadełko.

Zrobiła się też cisza, a każdy zwrócił oczy i posłał uszy, skąd dźwięk ten się rozległ.

A Tęczyński donośnym ozwał się głosem:

— Najmilsi panowie a bracia! Oznajmuję wam, jako najmiłościwiej panującego nam monarchę dotknął cios bolesny, ukochany jego bratanek młodziutki Ludwik, król czeski i węgierski, syn świętej pamięci Władysława także króla czeskiego i węgierskiego a najstarszego brata naszego najmiłościwszego pana zginął w wojnie z Turkami. Wprowadzony przez nich na srogie błota i trzęsawiska zginął bohaterską śmiercią 28 augusta*). Wieść tę, bolesną najmiłościwszy nasz monarcha otrzymawszy przez gońca wiadomość, który rozmaitym w drodze podlegał niebezpieczeństwom i dopiero przez Ferdynanda, cesarza niemieckiego wsparty, wczoraj z tą smutną nowiną do stolicy naszej na dwór królewski się stawił...

Miedzy obecnymi przebiegł szmer współczucia, ubolewania, czy niezadowolenia, trudno było na razie zrozumieć.

Wojewoda zaś, nabrawszy w płuca powietrza, przyłożył rękę do serca i tak rzecz swoją zakończył:

— Bolesć, jaka spotkała najmiłościwiej panującego nam monarchę, wszyscy tutaj pano-

wie a bracia odczuwamy, tak my, jako i cały naród, wraz z królewską rodziną na sześć niedziel przywdziejemy żałobę.

Co wypowiedziawszy pięknym, donośnym a do okoliczności zastosowanym głosem, powiódł wzrokiem po całej komnacie, skinął głową i śpiesznie za dębowymi zniknął drzwiami.

Zrobił się zaraz szmer jak w ulu.

Gdy Tęczyński licznie zebrany na posłuchaniu wieść tą oznajmiał, jednocześnie przy biciu w bęben i graniu trąb żałobnych ogłaszano ją całemu miastu.

Teraz można było zwłaszcza między bracią szlachecką najwyraźniej dosłyszeć niezadowolenie.

Mówiono więc:

— Cesarz wiadomo, chciał się go pozbyć to też bodaj z niewiernym Turkiem nań się zmówił.

— A teraz gońca Niemiec, psia wiara, z kondolencją przysyła.

— Krokodyl, chłopa zjadł, nad butami płacze!

— Byle jeno ta przyjaźń naszemu panu na złe nie wyszła!

Tak przechadzając się po mieście, każdy dorzucał jakieś słówko, radząc o sprawach *de publicis* i wplatając je w swoje własne sprawy.

A na korytarzach i w sieniach zamku jasnie wielmożnego wojewody dworscy i urzędnicy również nad żałobną wieścią radzili.

Młodzież zwłaszcza nietyle może żałując młodziutkiego króla węgierskiego, ile uciech dworskich i polowania w licznych gronie dam, *assemblów* i tym podobnych uciech, które zwykle przed adwentem się odbywały, gwarliwie rozprawiała.

Mikołaj, wszedłszy odrazu w przyjaźń z Konieckim, przysłuchiwał się wszystkiemu, kiwał głową, mrugał okiem, nie wiedząc dobrze, kto był ów Ludwik i jakie stosunki łączyły go z królem Zygmuntem I-szym, mówił:

— Jak pokrewieństwo, to pokrewieństwo, blizkie czy dalekie, trzeba je szanować.

— Ba, nietylko, że pokrewieństwo, ale nasz pan będzie miał teraz niemało kłopotu, bo to za cesarzem niemieckim Ferdynandem jest Anna, rodzona siostra Ludwika. Kiedy ją nasz pan za Ferdynanda wydawał, miała dopiero lat siedem, a i on był dzieciak, ale dziadek jego się upomniał, że gdyby Ludwik nie zostawił dzieci, to koronę węgierską tenże Ferdynand zabierze — mówił Koniecki, popisując się z wiadomościami stosunków politycznych i królewskich.

— Wiadomo, Niemiec zawsze przebiegły — wtrącił Mikołaj, a choć nic nie wiedział. Chciał dać dowód, że i jemu ta sprawa nie obca.

— Już to przebiegły bo przebiegły, bo zaraz w Wiedniu na zjeździe r. 1515 nasz pan umowę tę podpisał, i teraz Niemiec do Węgier wlezie, więc nietylko śmierć Ludwika ale i Węgry, nad którymi ród Jagiellonów panował, przyjdzie nam opłakiwać — mówił dalej pan

*) Bitwa pod Mohaczem r. 1526.

Albin głosem, który miał imponować nowicyuszowi.

Ale Mikołaj, dowiedziawszy się już, czego chciał, nie rad był dalej wywodów tych słuchać — rzekł więc:

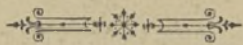
— To też my jednym okiem opłakiwać będziemy Ludwikę, drugim baczyć, by Niemiec nie wlaźł w szkodę, a całym gardłem śmiać się z jego zabiegów.

Koniecki chciał rzec jeszcze coś statecznego, ale jako dziś przyboczny wojewody, pośpieszył godnie się przyodziać, a Mikołaj do najbliższej stojącego się ozwał:

— Mój bracie, człek nie przeznaczony do samych jeno łez i smutku, boć Pan Bóg stworzywszy go, kazał mu się w raju radować, a że mu się noga pośliznęła i został wypędzony, toć zawsze na przykazanie Stwórcy baczyć powinien i ku wesołości się składać.

— Z waszeci widzę wesoły będzie kamrat — wtrącił inny dworzanin.

— A cóżem to między mnichy chowany? — zapytał Mikołaj! (d. c. n.)



Jak się bronia zwierzęta.

VIII.

Owady. Naśladownictwo kształtów. Konarek. Liściec.

Pewnego razu potężna wróżka odebrała od złego czarownika mnóstwo cudownych klejnotów, drogich kamieni, złota, pereł i innych ślicznych rzeczy. Zebrała je w swój płaszcz i poleciała cicho na ziemię, powiewając długimi, złotymi piórami swych skrzydeł. Wtem w powietrzu, wysoko, zadzwonił piosenką skowronek. Wróżka tak się zaśluchiwała w śpiewie ptaszyny, że w zamyśleniu wypuściła z ręki koniec płaszcza i wszystkie klejnoty posypały się na ziemię.

Dobra wróżka zmartwiła się bardzo; myślała, że karzełki, wierni jej słudzy, będą mieli dużo roboty ze zbieraniem skarbów. Zasmucona, spuściła się na ziemię i usiadła nad strumykiem. Wkrótce przyszło tam dwoje dzieci, braciszek i siostrzyczka, które zaczęły zrywać niezapominajki. Nagle braciszek wydać okrzyk zdumienia i podniósł z ziemi jeden z upuszczonych przez wróżkę klejnotów: olbrzymi, cudowny smaragd.

— Ach! jaki śliczny kamyczek! — wołały ucieszone dzieci i zaczęły się nim bawić.

Ten kamień jest bardzo piękny, — powiedziała w końcu siostrzyczka, lecz jabym wolała, żeby miał skrzydła i latał i błyszczał w słońcu.

Wówczas wróżka pomyślała sobie, że przecież tylko bogaci ludzie mają drogie kamienie, i klejnoty.

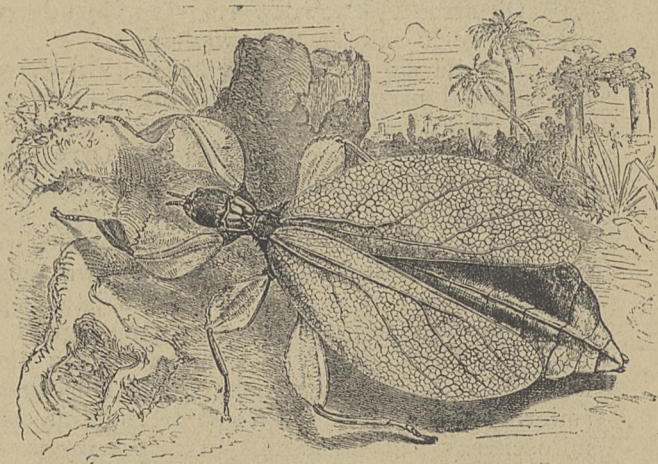
— Stworzę takie klejnoty, — rzekła do siebie, — które wszyscy ludzie będą mogli, podziwiać, które będą i dla biednych i dla bogatych, i dla małych dzieci. Niech latają w słońcu i błyszczą!

I wzniosła różdżkę czarodziejską ze słowem zaklęcia, a wnet wszystkie drogie kamienie uleciały w powietrze w postaci motylów, ważek, złocistych żuków i t. d. błyszcząc w słońcu wszystkimi barwami tęczy.



Konarek.

Gdy przypatrzymy się ślicznej bożej krówce, wspinałemu motylowi, zielonawemu złotawcowi, czyż nie wydają się nam te owady dziwnymi stworzeniami, jakby rękami wróżek ukształtowanymi? Czyż nie podobne do dyamentów przezroczyste skrzydełka ważek? Czyż nie równie piękne, jak korale, turkusy, zielone szmaragdy, żółte bursztyny i liliowe ametysty są motyle i żuki? A czy nie cudownie zbudowane przez Stwórcę jest ich ciało?



Liściec. (Zmn. o 1/3).

Ich szczęki, ich nóżki i oczy tak małe, iż często cały owad ledwo dostrzedz można, a jak każda część dobrze obmyślana! Malutka nóżka składa się podobnie, jak nasza noga, z kilku części, które zginać się mogą. Ich twardy pancerz chroni je od ciosów. Często głowa opatrzona jest trąbką do wysysania soku kwiatów, jak u motylów, często mały skrzydlaty wojownik posiada żądło do bronięcia swej własności, jak pszczoły i osy.

Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

(Dokończenie.)

„Zatrzymaliśmy się na początek w Etah, gdzie *Kood-luk-too*, *Billy Bah* i ja wysiedliśmy na ląd i nazbierali kilka worków świeżej trawy dla Stokrotki i całe pęki wierzbowych gałązek dla królików. a Eskimosi poszli polować na ptaki.

„Po obiedzie Karolek powiedział, że mi pomoże wyprowadzić Stokrotkę na wybrzeże, gdzie będzie mogła popaść się na trawie i pobiegać, bo nie była wcale zadowolona z tego, że jest zamknięta w klatce na statku. Trzeba było ją widzieć, jak upatrywała Karolka, i jak beczała, kiedy się schował za skały.



Para Eskimosów, żegnająca Ah-ni ghi-to.

„Po wyjeździe z Etah, wstępowaliśmy do wszystkich osad Eskimosów, i tatuś rozdawał im podarunki i żegnał się z nimi.

„ Eskimosi, którzy byli w służbie u tatu-

sia, około pięćdziesięciu ludzi — powiedzieli, że chcą zamieszkać w zatoce Academy, w miejscu, które nazwali: *Kang-erd-luk-soah*—więc *Windward* popłynął tam i wysadził ich na ląd razem



Ah-ni-ghi-to, stojąc u steru, kieruje statkiem.

z ich rodzinami i dobytkiem. Wielu z nich nie posiadało jurt*) ze skóry fok, więc im tatuś podarował płócienné namioty.

„Kiedy je rozpinali, Karolek wziął jeden z tatusiowych namiotów i rozpiął go także, i poszliśmy tam ze Stokrotką na drugie śniadanie, i przepędzaliśmy tam całe dnie, żeby sobie mogła gryźć trawę i skakać swobodnie.

„Kiedy już namioty były porozpinane, tatuś rozdał Eskimosom żywności na całą zimę—oprócz mięsa. Powiedział potem mężczyznom, żeby popłynęli z nim na *Windwardzie*, to będzie z nimi polował na morsy, póki nie upolują tyle, żeby wystarczyło dla ich psów na całą zimę.

„W czasie tego polowania, jednego wieczoru zarzuciliśmy kotwicę na spanie—bo jak wam

*) Namioty skórzane.

wiadomo niema tu wcale w lecie nocy; słońce bez przerwy świeci jasno.

„Tatuś i kapitan Sam zeszli już z pokładu, kiedy statek zaczął nagle podskakiwać. Wpadliśmy na mieliznę. Co to był za trud, żeby *Windwarda* zepchnąć na wodę! Ślizgał się ciągle na jednym boku, wszystko w kajutach pospadało w jeden kąt, i nie mogliśmy ruszyć nic aż drugiego dnia wieczorem. Byłam strasznie przerażona... Myślałam już, że będziemy tam musieli przesiedzieć całą zimę!

„Upolowawszy przeszło sto morsów, powróciliśmy do *Kang-erd-luk-soah*, i wyładowali je na ląd. Potem ojciec wyprawił Eskimosów na polowanie na jelenie, ażebyśmy mieli świeże mięso na czas podróży do domu. Trzy dni, które przepędzili na polowaniu, przesiedziałam na lądzie z moim piźmowcem. Ale nie zapomniałam też o żywieniu szceniąt i królików.

„Darowałam Cynamonka *Kood-lukowi*—bo mateczka powiedziała, że nie mogłaby go zabrać do domu. Stokrotkę, króliki i szcenięta, tatuś powiedział, że umieści w Zoologicznym ogrodzie w Nowym Jorku. Jednego dnia tatuś kazał Eskimoskom zaśpiewać w fonograf, a potem fonograf powtórzył ich śpiewy. Trzeba było widzieć jak się śmiały.

„*Billy Bah* i *Ahng-ood-looo* chcieli z nami pojechać, ale mateczka nie chciała ich zabrać. *Ahng-ood-loo* bardzo jest przywiązany do tatuś, więc jak się dowiedział, że nie może pojechać, zabrał *Billy Bah* i poszedł w góry, żeby się z nami nie pożegnać. Wszyscy Eskimosi smucili się, że muszą rozstać się z tatusiem, ale nagromadziwszy tyle zwierzyny, ile nam było potrzeba, musieliśmy odpłynąć. Biedny *Kood-luk-too* bardzo był nieszczęśliwy—i ja także.

„Przez czas podróży miałam dużo zajęcia z moimi wychowañcami, a jednego razu zastałam jednego zajączka nieżywego. Zabiły go inne w bójce. Teraz są już białe jak śnieg i prześliczne.

„Zatrzymaliśmy się pomiędzy Eskimosami na zachodnim wybrzeżu, na stacyi wielorybników. Nie podobają mi się wcale ci Eskimosi. Pewna jestem, że nie są tacy dobrzy, jak ci co byli przy tatusiu. Dzieci też daleko brzydsze. Ubierają się inaczej. Mają takie śmieszne, długie ogony przy opończach, a kobiety noszą brudne perkalikowe spódnice na futrzanych spodniach.

„Cieśla musiał zbudować dla Stokrotki klatkę dużo większą, zanim dopłynęliśmy do Sydneyu, bo bardzo urosła. Pieski też urosły a takie są rozkoszne jak kociątka. Niech babunia wraca niedługo do domu i sama je zobaczy. Mam jeszcze dużo do opowiadania, a teraz nie mam czasu opisywać.

„Kochająca bardzo babunię

„Dziewczynka z Kraju Śniegów“.

„P. S. Ach! zapomniałam napisać, że kapitan Sam nauczył mnie sterować i pozwala kierować sterem na *Windwardzie*. Znam już komendę tak jak majtkowie, i umiem zawracać w każdą stronę, według rozkazu“.

KONIEC.

Baśń o kocie w butach.

(Ciąg dalszy).

II.

Król miał córkę, dziewczę hoże,
Oczy modre jak lazury,
Liczko jasne nihy zorze,
Świat zazdrościł mu tej córy.

Raz pojechał z nią w karecie,
Na przejażdżkę w rzeki stronę,
Gdzie wschodziło lilij kwiecie
Blaskiem słońca ozłoczone.

Gdy się kot dowiedział o tem,
Wnet do pana swego leci:
„Niespodzianym spraw obrotem
Gwiazda doli twej zaświeci.

Ponad rzeką leć co chyżej,
Szybko w nurt się zanurz chłodny,
Gdy kareta się przybliży,
Krzycz: „Zbój topi mnie niegodny!“

I młynarczyk słucho kota,
Drży po szyję w wodnej toni.
Król nadjeżdża; lśni od złota
Pojazd piękny, uprzęż koni.

Chłopak woła: „Och, pomocy!
Życie zbójca mi wydziera!..
Król wychyla się z karocy
I naokół się spoziera.

Wnet się zjawia kot zziąjany:
„Królu, królu, pan mój tonie,
Przez złodzieja zrabowany!
Racz ślać kogo ku obronie.

Król posyła dworzanina,
A ten chłopca w płaszcz otula;
W pięknym płaszczu gęsta mina,
Śmiało idzie więc przed króla.

Król go sadza koło siebie
I powiada tak do niego:
— „Wielcem rad, żem poznał ciebie
Władco kota tak mądrego.“

(D. c. n.)

Zofia Zacharkiewicz.



Ale jeżeli latające drogie kamyczki z czasem, oprócz skrzydełek, zaczęły mieć kłujące narządy, to nie ich wina. Niestety, ludzie nie poprzestali tylko na przypatrywaniu się owadom. Ileż to razy psotne ręce nierozważnego chłopczyka albo dziewczynki oderwały skrzydełka i nóżki biednemu owadowi!

To też owady wołałyby zapewne, aby wcale ich nie widziano, i żeby uniknęły w ten sposób kalectwa i zagłady. Zresztą, o czem pewno wróżka nie pomyślała, grozi im jeszcze dużo innych wrogów. Ptaki, silniejsze owady, jaszczurki i t. d. czyhają na ich życie.

Dlatego też owady, podobnie jak zwierzęta ssące, mają często taką samą barwę, jak otaczające je przedmioty, aby ich nikt nie dostrzegł. Na liściach bywają zielone. Jeżeli zazwyczaj przebywają na korze drzew, wówczas są brunatne. Motyle, które żywią się sokiem żółtych kwiatów i na nich odpoczywają, są żółte i t. d.

Niektóre owady starają się ujść baczności w ten sposób, że naśladują nie tylko barwę, ale kształt różnych przedmiotów.

Spojrzenie na rycinę. Niby to sucha gałązka? Przypatrzcie się lepiej, może odkryjecie, że ta sucha gałązka żyje. Jest to bowiem brunatny owad, który nie ma skrzydeł. Nazywa się *konarek* i należy do rodziny straszykowatych. Ciało i nóżki jego, bardzo wydłużone, łudząco przypominają uschlą gałązkę. Owad ten przebywa na dolnych gałązkach krzaków i cały dzień spędza nieruchomo, w nocy zaś wyprawia sobie ucztę z liści.

Do tej samej rodziny straszykowatych należą owady, naśladujące liście. Nazwano je z tego powodu „wędrującymi liśćmi.“ Bywają zazwyczaj zielonego koloru, jak przystoi prawdziwym liściom. Spojrzawszy na jeden z tych owadów, zwany *liściec*, przekonamy się, jak łudzące kształty mogą one przybierać, aby nie wpaść w szpony wroga.

Skrzydła ich mają sieć drobnych żyłek, na nogach widzimy wyrostki, czyniące je podobnymi do ogonków liści. Kiedy taki owad spoczywa na gałęzi, niepodobna go zupełnie dostrzedz. Zachowuje podobieństwo nawet po śmierci, bo zielona jego barwa zmienia się wtedy na żółtą, jak u zwiędłego liścia.

Wędrowaliśmy długo po państwie zwierząt i nieraz ze zdumieniem dowiadaliśmy się, jak przemyślnie bronią się zwierzęta. Bronią się, dlatego, że muszą, dlatego że i one żyć pragną.

I ludzie tak samo wymyślają różne sposoby, aby bronić się przed wrogiem. Lecz czy nie lepiejby było, gdyby bezbronnym zwierzętom, choćby ze strony człowieka, nie

groziło niebezpieczeństwo, żeby n. p. owad, który przez cały dzień musi ukrywać się w liściach, mógł bez wszelkiej obawy uwijać się wesoło w słońcu?

Czy nie lepiejby było, aby między wszystkimi ludźmi panowała taka miłość i zgoda, żeby nigdy nie zachodziło żadnych nieporozumień i nie było ani wojen, ani sprzeczek w życiu? Aby żaden człowiek nie przeszkadzał drugiemu być wesołym i szczęśliwym?

Niech tylko każdy dąży do tego, a kiedyś z pewnością będzie na ziemi królestwo pokoju.

Hanna Elzenberg.

KONIEC.



Kolej przez Saharę.

We wnętrzu Afryki coraz częściej rozlega się gwizd lekomotywy, zapowiadający przyjsie cywilizacyi. Pisaliśmy przed dwoma laty o kolei Trans-Afrykańskiej, budowanej przez Anglików, która wkrótce połączy przylądek Dobrej Nadziei z Egiptem, obecnie niemniejsze zainteresowanie i podziw budzi dzieło rąk inżynierów francuskich: przeprowadzenie kolei przez pustynię saharą. Dzieło to nie jest wprawdzie dotąd jeszcze zupełnie wykończone, w każdym jednak razie już to, czego dokonano, świadczy o ogromnej energii twórców.

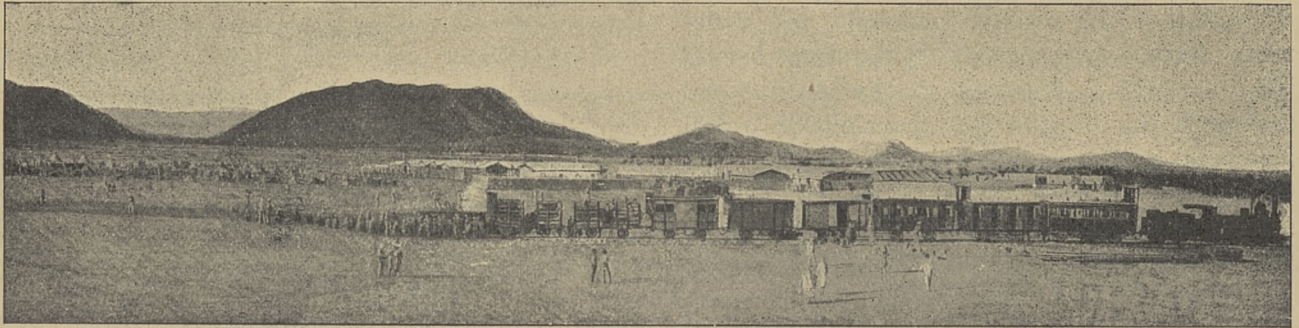
Rząd francuski zamierzył przeciąć całą pustynię i poczynić odnogi, któreby umożliwiły prawidłowe połączenie kulturalne niedostępnych a bogatych okolic z resztą posiadłości Francyi w Afryce: Algierii i Senegambii. Zamiar w części znacznej został przeprowadzony i obecnie kolej saharą dochodzi już do Beni Unif, skąd w dalszym ciągu skierowana będzie aż do Timbaktu. Jeszcze przed rokiem Francya właśnie w Beni Unif staczać musiała krwawe boje z bandami arabskimi, kiedy przystępowano do budowy tej kolei. Pierwszym warunkiem pomyslnego rozwoju budowy było zabezpieczenie inżynierów i robotników przed napadami. Żołnierze legii cudzoziemskiej i uzbrojeni galernicy czuwali stale nad postępem robót, dla tej straży

też tworzyć musiano specjalne obozy, niby ruchome osady z namiotów. Było to ogromnem utrudnieniem robót, utrudnieniem tem mniej pożądanem, że wogóle na każdym kroku piętrzyły się rozmaite przeszkody. Potrzeba było rzucać mosty nad przepaściami, wykuwać kilkanaście długich tuneli, nawet całe góry rozsadzać za pomocą dynamitu.

Kolej przez Saharę jest wąskotorowa, podzielona na przystanki, znajdujące się w odległości 12 kilometrów jeden od drugiego. Przy-

Beni Unif. W ten sam sposób odbywać trzeba podróż powrotną.

Budowa kolei kosztowała sumy kolosalne, przeciętnie też jeden kilometr pociągł za sobą wydatek 150,000 fr. Zachodzi pytanie, czy kolej zwróci w procentach sumy wyłożone? Pominając już, że dla kultury zrobiła Francya tą budowę bardzo ważny krok naprzód, skorzystała ona także wiele na możliwości eksploatawania bogatych lasów palmowych i bogactw mineralnych. Same daktyle przedstawiają się jako



Stacya kolejowa w Saharze.

stanki te są rodzajem małych fortec. Linia rozpoczyna się w Saidzie, skąd też o godz. 6 rano wyrusza pociąg zdążający przez El Kreider i Mesterię ku stepom Alfity. O godz. 7 wieczorem w Ain Sefra pasażerowie zmuszeni są nocować, w nocy bowiem istnieje obawa puszcząć dalej pociągi. Dopiero też na drugi dzień, znów o godz. 6 rano, można udać się dalej, ażeby przeciąć pasmo gór Wielkiego Atlasu i dotrzeć o godz. 3 do kresu, t. j. do

przedmiot handlu nadzwyczaj korzystnie. Ruch osobowy dotąd jest jeszcze nieznaczny, nie więcej też nad 12 do 15 osób, przeważnie Hiszpanów i Arabów, odbywa podróż. Ruch jednakże towarowy rozwinął się bardzo i dziennie kolej przewozi około $\frac{3}{4}$ miliona kilogramów różnych produktów.

Ryciny nasze przedstawiają widok krańcowej stacyi w Beni Unif i krajobraz wnętrza Sahary.



Krajobraz wnętrza Sahary.

H. Longfellow.¹⁾*Excelsior!*

Już szary cień nocy, opadał z zachodu.
Przez wioskę alpejską wśród śniegu i lodu,
Przechodził młodzieniec, chorągiew niósł białą,
A na tej chorągwi to godło jaśniało:

Excelsior!

Posępne i smutne miał czoło, lecz oczy
Błyszczały, jak oręż, gdy z pochwy wyskoczy,
A głosem swym dźwięcznym, jak trąbą bronzową.
W nieznanym języku nieznanie brzmiał słowo:

Excelsior!

Tu cicho i błogo wśród chatek górali,
Tu każde ognisko płomieniem się pali,
A nad nim jak widma gleczerów urwiska...
Więc jęk mu się głuchy przez usta przeciska:

Excelsior!

— «O wstrzymaj się, wstrzymaj!»—głos starca go wzywa,
«Patrz! burza na chmurach nadciąga straszliwa,
«Czy słyszysz, jak huczą potoki wezbrane?»
Za całą odpowiedź brzmi słowo nieznanie:

Excelsior!

— «O zostań się!» — dziewczę przynęca go czule,
«Twe czoło stroskane w mych dłoniach utulę!»
W błękitnych źrenicach łzy wstrzymać nie zdołał,
Lecz z smętnym uśmiechem raz jeszcze zawołał:

Excelsior!

«Od świerków, strzaskanych wichrami, chroń głowę,
«A bacz nadewszystko na zasy śniegowe!» —
To były ostatnie od starca przestrogi,
A głos odpowiada gdzieś z górskiej jńz drogi:

Excelsior!

Nazajutrz o świcie porannym, w tej porze,
Gdy w cichym świętego Bernarda klasztorze
Hymn modłów nabożnych rozlega się w pniach,
Krzyk jakiś przeleciał po zmarzłych przestrzeniach:

Excelsior!

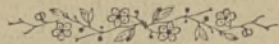
Po pilnem szukaniu, po długim obiegu,
Pies wierny odgrzebał wędrowca z pod śniegu,
W skostniałej już dłoni chorągiew miał białą,
A na tej chorągwi to godło jaśniało:

Excelsior!

Tu leżał on martwy wśród śnieżnej zawiei,
Lecz z błogim na ustach uśmiechem nadziei...
A stamtąd, gdzie jasne i czyste lazury,
Jak gwiazda lecąca spadł głos jakiś z góry:

Excelsior!

przekład K. Gaszyskiego.



¹⁾ Henryk Longfellow (1807—1882), słynny poeta amerykański.

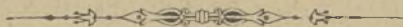
Excelsior — znaczy po łacinie—wyżej. Jest to hasło doskonalenia się i postępu.

Wawrzyniec Zeal.

— i x i —

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



Wziąłem wartownika do najbliższej szynkowni, gdzie przepłukał sobie gardło, a prócz tego dostał dziesięć dolarów za opiekę nad naszą własnością. Gdyśmy powrócili, nadjechał cały wóz z zapasami żywności, zamówionej rankiem przez mego towarzysza. Zapytałem wtedy sztyd-wacha:

— Kto jest ten Chińczyk na pokładzie?

— On ciągle się tu trzyma na dżonce—odpowiedział żołnierz. Nie odchodzi ani na chwilę. Pozabieraliśmy już wszystkie statki, jakie nam pozostawili Japończycy, a kiedy przyszlismy po tę dżonkę, Chińczyk siedział już na pokładzie. Zepchnęliśmy go w wodę, ale przypłynął napowrót i byłby pewnie utonął, gdyby nie jeden z naszych chłopców, który się nad nim zlitował i wyciągnął na pokład. Ja myślę, że to pewnie właściciel tej łodzi... Ale mu ją znowu oddamy, jak już będzie po wszystkim.

— Być może — odrzekłem spojrzawszy na postać skuloną i pochyloną, nad ogniem i garnkiem gotującego się ryżu. Ogorzały, wesoły żołnierz zagadnął Chińczyka.

— Słuchajno Ko-ko... Masz słuszność, że pilnujesz swojej własności... To twoja łódź—co? Chińczyk milczał.

— On tak ciągle—a może byłoby mu przyjemnie, gdyby go panowie z sobą wzięli? Żal wyrzucać go z dżonki, której się tak wiernie trzyma...

Numer Ósmy pochylił się i przemówił do kulisa po chińsku. Twarz Chińczyka rozjaśniła się, a z jego ust popłynął potok słów, których treść stanowiło to, że dżonka jest jego własnością, że mu ją wydarły „cudzoziemskie dyabły“ i nie pozwoli nikomu kierować swoim ukochanym statkiem!

— Bardzo dobrze—odrzekł *Numer Ósmy*, ujęty szczerością skarżącego się biedaka. Zrobię cię kapitanem tej łodzi, gdy znajdę załogę. Bądź dobrej myśli...

Przyjemnie było patrzeć na wyraz wdzięczności, jaki zajaśniał na pokornej twarzy Chińczyka, który, gdyśmy odchodzili, pożegnał nas szeregiem uniżonych pokłonów.

Zapusciliśmy się w labirynt uliczek, otaczających chińskie miasto; w drodze *Numer Ósmy* powiedział raz:

— Jak widzisz, *Trzej* nie tracą czasu. Mo-

żemy ich wyprzedzić dzięki tej łodzi, która mnie kosztuje dziesięć razy więcej niż jest warta; ale i za tę cenę nie byłbym jej dostał, gdyby nie protekcja generała, któremu w Indyach oddałem niegdyś ważną usługę...

Dochodziliśmy do brudnej dzielnicy, zapełnionej nędznymi domostwami: *Numer Ósmy* wszedł spiesźnie do pierwszego, i najbardziej zrujnowanego domu. Przyjął nas tam stary Chińczyk, wiodąc za sobą tłum ludzi rośliwych, silnych, z łotrowskimi minami.

— Ach!—szepnął mój towarzysz. — Nietrudno nam będzie zebrać tu ochotników do holowania dżonki.

Wybraliśmy dwunastu, i zaczęliśmy się z nimi umawiać. Wszyszy usilnie starali się o służbę u „cudzoziemskich dyabłów“, co łatwo było zrozumieć, bo dawaliśmy im nie tylko doskonałą płacę, ale sama opieka białych ludzi była pożądana w tych czasach, kiedy życie każdego żółtego człowieka wisiało na włosku.

Lecz przed zawarciem umowy trzeba było dopełnić mnóstwa uciążliwych formalności: wziąłem na siebie tę część zadania, a *Numer Ósmy* poszedł zająć się sprowadzeniem reszty zapasów do dżonki.

Skończyłem już umowę z siedmiu ludźmi, kiedy nagle zaszła niespodziewana zmiana w zachowaniu się tłumu. Zamiast poprzedniej gotowości—pozostali ochotnicy zaczęli się cofać. Zawołałem na tego, którego kolej nadeszła, żeby wystąpił: nikt się nie ruszył. Powtórzyłem rozkaz już z gniewem. Ale jedyną odpowiedzią było uporczywe milczenie i lekki ruch kulisów, zmierzających do wymknięcia się.

Wtedy dopiero spostrzegłem nowego przybysza w tłumie: małego wzrostu Chińczyka, którego odzienie w łachmanach i nieogolona głowa były oznaką, że należy do najniższej klasy, najwięcej pogardzanych żebraków. Z wielkiem zdziwieniem spostrzegłem, że szepce on z ludźmi zgodzonymi przez nas, skutkiem czego dwóch z nich wystąpiło oznajmiając z wielką stanowczością, że nie mogą z nami jechać.

Łatwo było zrozumieć powód tak nagłej zmiany: nakazałem więc żebrakowi odejść precz. Odszedł, nie mówiąc ani słowa.

Wkrótce potem *Numer Ósmy* powrócił, a widząc spłoszone i wystraszone twarze Chiń-

STANISŁAW KRAUZ.

List Boćka z Afryki.

Przypominacie sobie może, młodzi czytelnicy, opowiadanie o Boćku, którego Kazio i Janinka uratowali od śmierci i przechowali u siebie przez zimę i który tak cudownie nauczył się pisać. Otóż niedawno dzieci te otrzymały gruby list w kopercie o licznych pieczęciach pocztowych. Adres był napisany ołówkiem i troszkę koślawo. Jakież było zdziwienie i radość dzieci, gdy się przekonali, że to ich kochany Bociek pisze do nich aż z Afryki! Kazio przysłał mi ten list z prośbą, abym go nieco poprawił (bo Bociek jeszcze niezupełnie bez błędów pisze), i przesłał do „Wieczorów“ dla wszystkich dzieci. Oto list ten:

Kochana Janinko i Kaziu!..

Nie zapomniałem o was, moi dobroczyńcy, i na dowód tego piszę ten list z Afryki, gdzie zimuje bardzo wiele bocianów polskich. Jakże się cieszę z tego, że umiem trochę pisać, i że mogę podzielić się z wami wszystkim, co widziałem w długiej podróży i tu na miejscu. Całe prawie nasze stado osiadło tutaj na północy Afryki, w kraju, który nazywa się Agip, czy jakoś podobnie. (Bociek chciał zapewne napisać: Egipt. Zobaczcie to sobie na mapce). Długo będę pamiętał ten śliczny jesienny poranek, kiedyśmy wzbili się wysoko w powietrze za starym bocianem-przewodnikiem. Jakież niepokój miał w bocianiem sercu każdy z nas młodych, puszczających się po raz pierwszy w tę daleką podróż! Czy doleci? Czy wróci znów do tych drogich gniazd na nadwiślańskich topolach? Pod nami migały lasy i rzeki, miasta i wioski. Kiedy zobaczyłem pod sobą spore góry, a na jednej z nich kościół, podleciałem do jednego ze starszych bocianów i pytam się co to jest.—To Świętokrzyskie góry—powiada śliczny zakątek naszego kraju. Długo tak, bardzo długo lecieliśmy, zatrzymując się czasem i nocując na łąkach błotnistych, gdzie dużo żab. Nareszcie nie wiem po ilu dniach podróży, zobaczyliśmy w dole, zamiast pól, lasów i miast. wielką przestrzeń wody. To było morze! Stary bocian powiedział mi, że się nazywa Śródziemne. Niepokój ogarnął nas, bo jeśli któremu teraz sił zabraknie, to śmierć znajdzie w tych niezmiierzonych głębinach. Nigdzie dokoła nie widać kawałka ziemi, tylko woda i woda, a na niej czasami zjawi się jakiś potwór, gwiżdżący głośno i wyrzucający z siebie kłęby dymu. Nawet stary bocian nie mógł mi powiedzieć, co to za zwierzę. (Był to oczywiście okręt parowy).

Kraj, do którego zmordowani przybyliśmy

po długiej podróży, zupełnie inaczej wygląda od naszej wsi. Grudzień mamy teraz i u was mrozy zapewne i śniegi, a tutaj słońce tak piecze, że trudno wytrzymać i tylko deszczu mamy o tej porze dużo. Rośliny i zwierzęta też inne zupełnie. Sosny, ani lipy, ani topole nie widać, tylko wysokie drzewa z pękiem długich liści na czubku, a nazywają się palmy. Rosną na nich takie same daktyle, jak te, które mieliście na choince. Zwierzęta też do naszych niepodobne i brzydsze od naszych. Muszę wam opisać zabawną przygodę, jaką tu miałem niedawno z jednym takim brzydalem. Poszedłem sobie raz nad rzekę. Z brzegu rosło dużo trzciny, więc wlałem tam aby się schować przed gorącym. Leży jakiś kłoc. Wszedłem nań i dla zabawy począłem kuć w niego dziobem. Wtem czuję, że mój kłoc się rusza! Przestraszyłem się i podtrunąłem w górę, patrzę, a mój kłoc ma potworny łeb o wielkich zębach i malutkich oczach. Ja do niego po polsku: Brzydał jesteś, a on machnął tylko ogonem i schował się w fałdach rzeki. Później powiedział mi stary bocian, że to musiał być krokodyl albo coś podobnego. Wogóle, stary wielki bocian, który nam podczas podróży za przewodnika służył, jest dla nas tutaj prawdziwym błogosławieństwem. Zna dobrze Afrykę, różne niebezpieczeństwa jakie nam tu grozić mogą i ostrzega nas zawsze przed nimi. Mądry jest też i umie bardzo ładnie opowiadać różne bajki i powiastki. Zwykle w południe, kiedy słońce tak piecze, że nie można iść na polowanie, zbieramy się w cieniu jakiego dużego drzewa i otaczamy starego bociana, który nazywa się ojczulek między nami, a on zaczyna opowiadać lub objaśniać nam to, czego nie rozumiemy i o co się pytamy. W swoich przechadzkach po okolicy tutejszej widziałem kilkakrotnie już ludzi zamieszkujących ten kraj. Myślicie, że są podobni do ludzi z waszej wioski? Gdzież tam! Skóra ich jest ciemna, u niektórych zupełnie prawie czarna, jakby się pomorusali sadzami. Myślałem długo nad tem, dlaczego tak jest, ale nie mogąc nic sam wymyślić, zapytałem o to ojczulka. Pomyślał chwilę i powiada: „Trudna to dosyć rzecz do zrozumienia, ale postaram się ją wytłumaczyć tak, jak to jest opisane w jednej ludzkiej książce. Wiesz zapewne, że są takie rzeczy, które od słońca zmieniają kolor“. A prawda, przypomniałem sobie, przecież pamiętam, jak Janinka martwiła się, że jej sukienka od słońca spłowiała.

— No widzisz — mówi mi ojczulek — w ludzkiej skórze są także drobne cząsteczki, jakby malutkie ziarenka, które od promieni słonecznych robią się ciemnymi, a nawet zupełnie czarnymi. Ziarenka te, które ludzie nazywają barwnikiem skóry, robią to właśnie, że ludzie,

zamieszkujący Afrykę, gdzie słońce bardzo piecze mają ciemny kolor skóry“.

Dużo takich ciekawych rzeczy opowiadał nam ojczulek, ale nie mogę ich tu wszystkich powtarzać, bo mi bardzo trudno pisać. I tak szczęście, że raz, gdy podszedłem aż pod samo pobliskie miasteczko, znalazłem spory ołówek, zgubiony pewnie przez jakiego podróżnego. Ale odzwyczaiłem się od pisania i ciągle mi się ołówek z dzioba wysuwa. Ażebyście wiedzieli, ile ja sobie głowy nałamałem nad wysłaniem listu tego! Musiałem wybrać się w kilkudniową podróż aż nad morze, gdzie stoją okręty, zabierające listy i wieczorem, gdy nikt mnie nie widział wrzuciłem list do skrzynki na okręcie. Nawet nie wiem, czy do was dojdzie. Już z niecierpliwością oczekuję tego czasu, kiedy jest u was wiosna i kiedy się znów zobaczymy.

Tymczasem zasylam wam serdeczne uściski.

Wasz Bocięk.

Sprawozdanie z figla arytmetycznego do nagrody, umieszczonego w Nr. 17-ym.

Zadanie to podobało się widać naszym czytelnikom, bo otrzymaliśmy olbrzymią ilość rozwiązań, z których uwzględniliśmy tylko te, co w całości przedstawiły postępowanie przy rozdzielaniu mleka między kobiety.

Oto nazwiska tych, co zupełnie rozwiązali figiel:

Z Warszawy — Stefa Bagińska, A. Krawjewski, Stefa Kudelska, Zofja Rutkowska, Promień, Jakób Paganel, Robaczek, Stacha Henneberżanka, Rólnik z nad Narwi, Zaleski, Marya K., Kwintus, Genia Birkenheimówna, Lilia wodna, M. Cederbaum, Henryk Furmański, Adam Gieysztor, Henio Ciszkievicz, S. Kobryner, Biała Polna Różyczka, Wanda Łepkowska, Eugenia, Jurand ze Spychowa, Helena Kaczyńska, Tadeusz Rubach, Janina Pęska, Podolanka, i Zosia Strz...

Z poza Warszawy — K. Sokolnicki, Leon Olbracht, Tadeusz Procter, Podolanka, Tęsknota, Tomasz Stoliński Kalkstein, Tadeusz Ficowski, Mieczysław Czechowicz, Julia Chotkowska, Józef Fogel, Laszka z Andruszówki, Były realista, Czarnuska, Laszka z nad Dniepru, Dzika kózka z Chodywaniec, Janina Dłuska, Karol Wieczorkiewicz, Dzikus z Ustronia, Czytelniczka z nad Lipianki, Polak z Odesy, Regina Auerbachówna, Stokrotka polna, Janek Topoliński, Orzeł gór śnieżnych, Janina Kamińska, Władek Wojtaszewski, Prządka złotych nici, Br. Sterling, Oleś Radziwonowicz, Zygmunt i Józia Ł., Henryk Dąbrowski, Gospośia z Petersburga, Janina Slepowna, Lilijka z nad Świsłoczy, Postępowiec, Kasylda Katuszewska i Skrzetuski.

Z liczby wyżej wymienionych do nagrody wylosowani zostali:

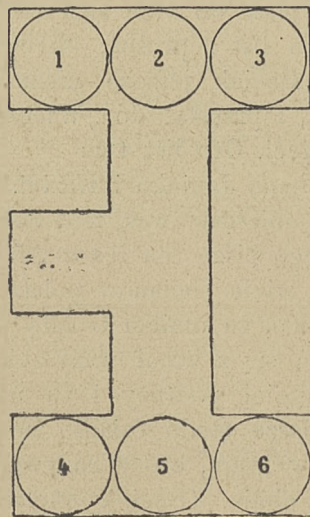
Janina Pęska, S. Kobryner i Wanda Łepkowska wszyscy troje z Warszawy oraz *Leon Olbracht* z Opatowa, i *Dzika Kózka* z Chodywaniec.

Jako nagrody rozdane będą książki, po które prosimy zgłaszać się do redakcyi.

Zauważyć wreszcie należy, że prócz wymienionych rozwiązań otrzymaliśmy jeszcze jedno rysunkami nawet i lustrowane, ale bez podpisu.

Zadania i łamigłówki.

Łamigłówka kombinacyjna.



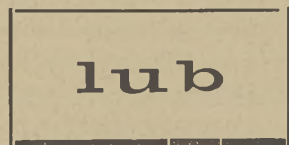
Pewien przemysłowiec posiada 6 samochodów, umieszczonych w wozowni kształtu przedstawionego na podanej rycinie. Samochody są oznaczone numerami kolejnymi 1, 2, 3, 4, 5, i 6.

Kiedys polecił woźnicy przesunąć samochody z numerami 1, 2 i 3 na miejsce samochodów 4, 5 i 6, a te ostatnie na miejsce poprzednich. Woźnica w 18-u posunięciach uczynił zadość życzeniu swego pana.

Może kto z czytelników „Wieczorów“ objaśni, w jaki sposób mógł to uczynić.

Rebus-figel.

ul. S. Kobryner.



Co to znaczy?

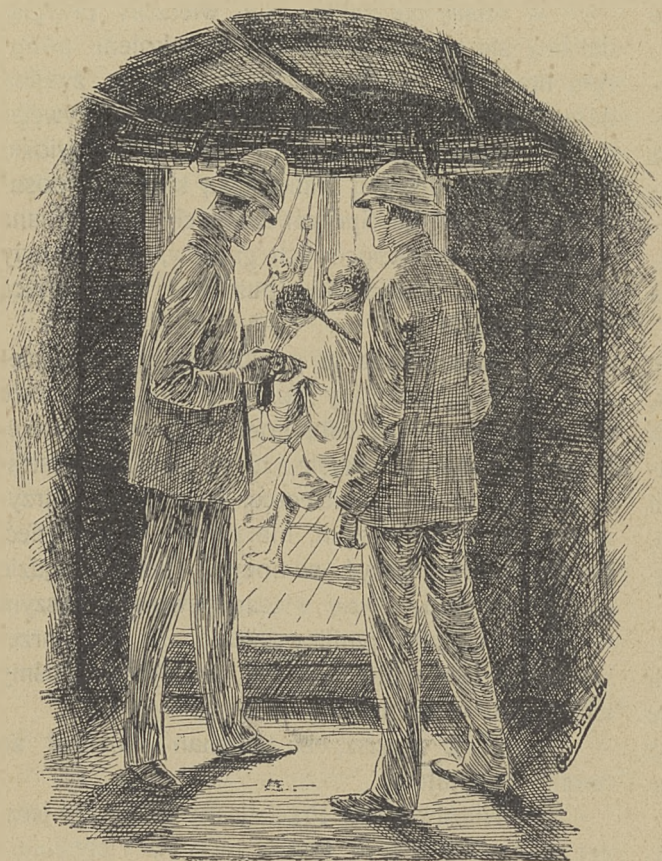
Arytmogryf kryształowy.

ul. Żelazna Ręka.

1 Zamiast liczb podstawić należy li-
1 2 3 tery, aby środkowe głoski złożyły nazwę
1 2 3 4 5 miasta powiatowego w Królestwie.
3 4 5 Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska.
5 2) Zwierzę. 3) Miasto powiatowe. 4) Przy-
rząd gimnastyczny. 5) Spółgłoska.

czyków domyślił się odrazu, że coś zaszło. Kazał zawołać starego Chińczyka, który nam sprowadził kulisów, a gdy starzec przyszedł, *Numer Ósmy* polecił mu natychmiast zamknąć bramę. Pośpiech, z jakim spełnił ten rozkaz, dowodził, że on przynajmniej nie brał udziału w spisku przeciwko nam. Po zamknięciu bramy, *Numer Ósmy* zaczął badać kulisów, jakie mają powody do takiego postąpienia: ale nie dowiedział się nic więcej, oprócz tego, że odmawiają stanowczo służby na naszej dżonce. Tłumaczyli odmowę tem, że obawiają się zostać zastrzeleni w czasie podróży, i nie chcą narażać się na niebezpieczeństwo.

— Ich strach nie jest udany — powiedział do mnie towarzysz. Znać, że są bardzo przerażeni.



Numer Ósmy zaczął śpiesznie nabijać rewolwer.

Tamci, którzy zawarli kontrakt, muszą go dotrzymać.

— Ale w jaki sposób ich zmusimy?

— Przewidywałem, że nie obejdzie się bez trudności, i przyprowadziłem z sobą straż — odrzekł *Numer Ósmy*.

Poszedł do drzwi i wprowadził dwunastu angielskich żołnierzy z sierżantem. Trzeba było widzieć miny Chińczyków w obec tak niespodziewanego zjawiska! *Numer Ósmy* oddał ich pod opiekę sierżanta, i wyruszyliśmy z naszą, gwałtem zwerbowaną załogą.

Widząc te tajemnicze potęgi, działające przeciwko nam, i nieustanną, niezmordowaną a wrogą czujność naszych wrogów, zaczynałem powątpiewać, czy zdołamy dotrzeć do celu podróży. Nie zadziwiłbym się, gdyby w czasie naszej nieobecności, dżonka została skradziona lub zniszczona. Z uczuciem prawdziwej ulgi zobaczyłem jej maszt i całą łódź, przy której trzymał straż niewzruszony angielski wartownik, i u jego nóg przykucniętą postać Chińskiego kulisa — dawnego właściciela statku.

— W porę panowie wracają — zaczął żołnierz. Trzech kulisów próbowało na tej samej rzece ukraść mi pod nosem inną łódź dziesięć minut temu. Chińczycy ukradliby człowiekowi buty z nóg, gdyby się nie pilnował!

Weszliśmy na pokład. Załoga w milczeniu zabrała się do roboty. Jeden tylko Chińczyk, mianowany przez nas kapitanem, objawiał energię przy pracy. Czuł on, że jest na drodze do odzyskania swej własności, wydarł mu tak niemiłosiernie przez „cudzoziemskich dyabłów“.

Przeniósłem wzrok z ponurych twarzy załogi, na twarz *Numeru Ósme*go. Zajęty był pilnie nabijaniem rewolweru.

— Zdaje mi się — powiedział — że jedynym sposobem zapobieżenia, by nie miękli i nie osadzili nas na lodzie, — jest użycie tego instrumentu.

ROZDZIAŁ XVIII.

Opłakana podróż.

Wyruszyliśmy tedy w niebezpieczną podróż, osaczeni na każdym kroku przez czujnych i chytrych wrogów, zapuszczając się w zdradziecką pustynię nieznanego kraju, przygotowani na to, że każdej chwili nieprzyjacielski sztylet lub kula może położyć kres naszemu życiu.

Myślałem ciągle o Barbarze, od której nie miałem żadnej wieści prócz otrzymanego w Szanghaju kartki. Wiedząc, że Barbara rozporządza tajemniczymi a potężnymi sposobami przesyłania wiadomości, milczenie jej musiałem przypisać tylko wpływom, i groźnej potędze *Trzech*. Zadrżałem: może ona jest już w ich mocy? może nie żyje?... Podróż ta była dla mnie pamiętna.

— Niezawodnie ten żebrak ich podmówił — odrzekłem. Kazałem go wypędzić, spostrzegłszy, że coś tutaj bruzdzi.

— To mi wszystko tłumaczy! — zawołał *Numer Ósmy*. Trzem nie udało się pochwycić naszej dżonki, więc chcą nam przeszkodzić do zebrania załogi.

— I o ile się zdaje, powiodło im się to zupełnie — odrzekłem — widząc spuszczone, głowy i nieufne wejrzenia Chińczyków.

— Ilu ich zgodziłeś? — zapytał *Numer Ósmy*.

— Siedmiu.

— To dobrze. Damy sobie z nimi radę. Reszty niema sposobu nakłonić w tej chwili.

Od *Tungchozo* do *Tientsinu*, powolnie płynąca, Żółta rzeka, wije się po równinie zasianej prosem i gaolanem *) — który pokrywa prawie całe pola w północnych Chinach. W tych gąszczach gaolanu znajdowali Bokserzy nieocenionego sprzymierzeńca w wojnie z europejskimi wojskami. W jego cichych głębiach mogą się ukrywać tyśiące zaczajonych ludzi.

Dzięki temu Bokserzy urządzali zasadzki na europejskie wojska i dlatego drogę wodną, po rzece *Pei-ho*, jako bezpieczniejszą, Sprzymierzeni obierali do przewozu żołnierzy i zapasów żywności.

Gaolanowe pola ciągnęły się z obu stron rzeki. Wzdłuż nich szła wązka drożyna, którą dążyli kulisowie holujący naszą dżonkę: drożyna schodziła czasem w płytką wodę, a tam, gdzie brzeg się oberwał, przerywała się zupełnie.

W takich miejscach kulisowie umieli przebywać rzekę w bród, albo też żerdziami popychać dżonkę pod wodę. Niekiedy na równinie podnosił się lekki wiatr, a wtedy rozpinano starannie poszarpany żagiel na skrzypiącym maszcie. Kulisowie wypoczywali, siedząc w kucki na pokładzie, i zjadali obfite porcje ryżu i ciasta z gaolanu.

Niekiedy, tam gdzie rzeka robiła gwałtowne zakręty, można było widzieć żagle innych dżonek, płynących na równi z nami, ale oddzielonych znaczną przestrzenią. Rzeką płynęło dużo statków: mijaliśmy całe korowody dżonek, z których każda była pod opieką japońskiego żołnierza, lub szeregowca jednej z europejskich armii, zajmujących Chiny.

Musieliśmy wyteżać wielką czujność, aby zapobiedz ucieczce naszych kulisów. Wykonywali swą pracę w ponurem milczeniu, niechętnie, ale dokładnie, a dzięki temu, że nasza dżonka była niewielka, posuwaliśmy się szybko. Rzadko nam się trafiało aby nas kto w drodze wyścignął.

Pierwszego dnia ku wieczorowi zauważyliśmy, że nasi ludzie wykonywają chętniej swą pracę.

— Zdaje mi się, że zawdzięczamy to naszemu Chińczykowi — kapitanowi. Dobrze się stało, że daliśmy mu ten urząd. Jest przejęty wdzięcznością; zdaje się, że ma wpływ na kulisów i wyperswadował im zamiar ucieczki. Przypuszczam, że i to mu pomogło do przekonania ich...

Numer Ósmy wskazał na jakąś bezkształtną masę leżącą na wybrzeżu. Było to ciało zabitego Chińczyka...

— Przypatrzysz się uważnie brzegom rzeki — mówił dalej mój towarzysz — łatwo się domy-

ślić, dlaczego Chińczyk w tych stronach, woli być pod opieką białych ludzi. Nie są to wszystko ciała Bokserów, włóczęgów, rozbójników: jest między nimi dużo niewinnych ofiar zastrzelonych przypadkowo, spokojnych rolników, którzy nie mieszały się do wojny. Wojska sprzymierzone zmuszone są do surowych środków dla oczyszczenia wybrzeży z Bokserów, przeszkadzających żegludze, i skutkiem tego, wodny gościniec jest względnie bezpieczny. A że strzelano do każdego, kto się pokazał na brzegach rzeki, padło przy tem wielu niewinnych.

Wzdrygnąłem się na myśli o okropnościach wojny i odwróciłem oczy w inną stronę. Ale i tam leżały ciemne masy rozciągnięte na ziemi. Wiedziałem już teraz, co one znaczą...

W miarę jak zbliżał się wieczór, przyglądaliśmy się ze wzrastającym niepokojem ponurym brzegom, między którymi płynęła zwolna nasza dżonka. Nie było widać nigdzie żywego ducha: pustka nas otaczała. Nadbrzeżne wioski nosiły ślady zacieklej walki, jaką stoczyły posuwające się wojska Sprzymierzonych: zamiast fanz sterczały stosy okopconych gruzów, drogi były opustoszone, rozpaczliwa pustka i przerażająca cisza wszędzie.

— Niepodobna tu przybić do brzegu — odezwał się zaniepokojony *Numer Ósmy*, a jednakże nie możemy płynąć całą noc. Kulisowie potrzebują odpoczynku. Myślę, że są zanadto wystraszeni, aby myśleć o ucieczce. Lecz jeżeli zatrzymamy się w tej pustyni, nie można przewidzieć, co może się zdarzyć w nocy... Trzeba będzie czuwać kolejno. *Trzej* wiedzą pewnie o naszym wyjeździe i będą czynili wszystko, by nam przeszkodzić, lecz mam nadzieję, że wyprzedziliśmy ich w tym wyścigu...

— Więc sądzisz, że talizman pozostał za nami? — zapytałem.

— Niezawodnie. Przekonany jestem, że jeszcze dziś rano *Berło światła* było w *Tientsinie*... I dlatego *Trzej* usiłowali przeszkodzić naszej podróży...

— Więc poco się tak spieszymy?

— Bo ten kto ma talizman, także się spieszy, ażeby zapobiedz zabraniu przez nas drugiej połowy, w zamęcie jaki zapanuje po zdobyciu Pekinu przez Sprzymierzonych. I tem więcej będzie się spieszył, że wie, iż go wyprzedzamy...

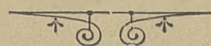
— Jakimże sposobem masz nadzieję pochwycić talizman?

— Bo wiem, jaką drogą będzie dążył. I dlatego musimy śledzić każdą łódź, która nas wyprzedza.

— Dotąd nie wyprzedziła nas żadna — zauważyłem.

(d. c. n.)

*) Olbrzymia odmiana prosa, której łodygi dochodzą dziesięciu i dwunastu stóp, a po omłóceniu służą na opał.
(p. II).



Od Towarzystwa Ogrodniczego.

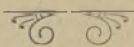
W celu rozpowszechniania w młodym pokoleniu, zamięłowania do ogrodnictwa a w danym razie do pielęgnowania roślin w mieszkaniach, Towarzystwo rozdało w r. 1904 blisko 750 doniczek tych roślin i ułożyło spis obdarowanych, zapowiadając, że w r. b. urządzi popis całorocznej staranności dzieci i ich zamięłowania w hodowli otrzymanych roślin i staranność tę odznaczać będzie za pomocą odpowiednich nagród.

W wykonaniu tej zapowiedzi, Towarzystwo popis taki urządzi w d. 4 czerwca r. b. w Bagateli i w tym celu uprasza, za pośrednictwem Redakcyi, zeszłorocznych obdarowanych o dostarczenie do kancelaryi Towarzystwa (Bagatela 3) w dniu 1 i 2 czerwca, w godzinach od 10-ej do 5-ej po południu, swoich doniczek z roślinami, które były opatrzone plombami Towarzystwa. Ocenę hodowli dokona komisya w d. 3 czerwca, a dnia następnego, t. j. 4 czerwca, nastąpi rozdanie nagród. Właścicielom doniczek będą rozdawane kartki z numerami, za zwrotem których będą mogli odebrać swoje rośliny.

Niezależnie od powyższego popisu, w tymże dniu 4 czerwca odbędzie się o godz. 1-ej w Bagateli nowa uroczystość rozdawnictwa doniczek z roślinami do hodowli dzieciom w wieku od 7 do 15 lat.

W tym celu będą przyjmowane zapisy w ciągu tygodnia, od środy dnia 24-go maja do środy d. 31 maja, w godzinach rannych od 10-ej do 1-ej.

1) Kancelarya Towarzystwa, Bagatela 3;
2) kantor Br. Hoser, Jerozolimska 53; 3) Redakcyja „Świata kobiecego“, ul. Włodzimierska 6;
4) pani S. Kronenbergowa, Mazowiecka 6;
5) pani H. Gabryelowa, Trębacka 10 i pani M. Skiwska, ul. Nowogrodzka 23.



ZE ŚWIATA.



Wielki zbiór marek. W muzeum Brytańskim w Londynie znajduje się zbiór marek pocztowych p. Tomasza Taplinga, który zaczął je kolekcjonować, będąc chłopcem dziesięcioletnim. Zbiór zawiera 100,000 sztuk, a wartość jego wynosi około miliona rubli.



Skrzynka do listów.

„O ziemi! jakżeś słiczna w majowej sukience,
„Słońcem się cała złocisz, tchniesz Wisły falami,
„Skowronek pacierz ranny zmówi ci w piosence,
„A gród Warszawy w chórze zamodlił dzwonami.

Franciszek Zyglński.

Słowami poety rozpoczynam dzisiejszą pogadankę z wami, pisklęta drogie, bo własnych nie stanie na wyrażenie zachwyty, jaki ogarnia duszę wobec uroku maja. Jest on w tym roku piękny i ciepły, jakby chciał pocieszać serca znękané widokiem nędzy, bólu i troski o jutro. Ziemia obiecuje bogaty plon rolnikom, niechże dojrzeje prędko zboże, niech nakarmi zgłodniałych, niech dojrzeją dobre zamierzenia ludzkie, niech lepsze jutro zaświeci dla ojców i dla was, dzieci. Chwałę maj, a powinienem mieć do niego żal, gdyż zabrał mi pisklęta: sieją, kopią, biegają po trawie, zbierają kwiaty, a na listy do Jaskółki mało zostaje czasu. Dzisiejsza skrzynka bardzo niewiele zawierała korespondencyi, co mnie wcale nie dziwi, owszem cieszę się z wami swobodą i pogodą, a cenię tem więcej pamięć ot choćby twoją **Kropelko rosy**, bo oderwałaś się od ogródka, żeby bardzo serdecznie wyrazić mi najmiłsze jakie odebrać mogłam życzenia: „Niech wszystkie twoje pisklęta rosną wedle twej myśli, niech należący do Jaskółczej gromady pełnią same szlachetne i dobre czyny,— pisze kochana Kropelka, a ja gorąco proszę Boga aby, spełniły się jej słowa. Myśl wierszyka bardzo ładna, tylko rymy niedość swobodnie płyną.

Czemu masz przerywać naszą korespondencyę **Zośko z Oświęcimia**. Na pensyi będziesz pewnie także czytywała „Wieczory“, a przy dobrej woli znajdziesz chwilę czasu na napisanie listu. Odpowiedź co do Talizmanu Władzy dać może tylko redakcyja.

Nie zapomniałam ani **Pisklątka z Botwinówki** ani braciszka jej Tadzia, o którym często myślę, jak myślę teraz z niepokojem o wielu uczniach, czy nie tracą czasu, czy pracują? Im bardziej nędza rozgorycza serca biedaków, im więcej wywołuje bolesnych objawów tem chętniej spieszyc powinniśmy z pomocą, łagodzić, koić, karmić, oświecać.

Otrzymałam dowód, że „Dzieci Wieczorów“ rozumieją obowiązki, o których piszę w poprzednim liście, bo oto mam w ręku przekaz na 35 rb. od **Leśnej Konwalijki** i na 5 rubli od **Maryi i Jadwigi Odyńcowien**. Pieniądze te będą rozdane między potrzebujących, a że jest wielu nieszczęśliwych niech posłuży za dowód biedak, którego odwiedzałam w tym czasie. Słyszałaś pewnie Konwalijko o chorobach zawodowych, o tem, że froterzy np. cierpią na rany w nogach, robotnicy zapalek tracą dziąsła od wyziewów fosforu. Otóż poznałam świeżo rodzinę młodego drukarza, który zajęty przy odlewaniu czcionek zatrzał organizm przez oddychanie ołowiem i jest niezdolny do pracy, choć zdolny i bardzo sympatyczny. Czyż taki

nie zasługuje na pomoc społeczeństwa, kiedy stracił zdrowie nie przez złe nałogi, tylko dla tego właśnie, że sumiennie pełnił swój obowiązek. Na różnych polach padają żołnierze, pracownicy to też armia, ginie z niej wiele jednostek w kopalniach i fabrykach, a gdyby choć zawsze pracę znaleźć mogły chętne ręce, gdyby tę pracę starano się uczynić znośną i jaknajmniej szkodliwą. Dzwoni na to kazanie w dzwoneczki twoje Konwaliuko leśna, a tymczasem Bóg zapłać za przysłane dary zarówno tobie, jak i M. i J. Odyńców. Drogie jest polskiemu sercom wasze nazwisko, byłoby mi bardzo miło, gdybyście więcej osobie doniosły szczegółów.

Dziękuję Czarnulko za to, że tak chętnie przyjął moją radę robienia notatek z przeczytanych książek. Odkąd wiem o śmierci twojej matki, tem droższą i bliższą mi jesteś, tatuś nie skąpi ci pewnie pieczyoty, ale i ja chętnie utuliłabym cię skrzydełkami. Prawda, że dużo czytałaś na swój wiek, ja jednak pragnę wiedzieć, kto kieruje wyborem twoich książek. Tatuś może nie zawsze ma na to czas, pamiętaj więc, że chętnie bardzo służyłabym ci radą. Co najwięcej lubisz czytać? Podróże, książki historyczne treści, czy powieści.

Jakże często troskałam się o was, Marylko i Wygnanko, a bardziej jeszcze o braciśzka Józia, czy nie jego choroba jest powodem milczenia. Cieszę się wszystkim, co dla was i szanownej waszej mamy jest pociechą, a więc najprzód spodziewanym przyjazdem tatusia, a potem możliwością przeniesienia się w okolice Warszawy. W tym roku nie potrzebowałybyście załować Włoch, mamy cudny maj, cała natura uśmiecha się kwiatami. Proszę o zmianę adresu i odesłanie żądanych numerów pisma przedstawiłam redakcyi; a dla was obu mam życzenia, niech Marylka dokończy pomysłu swego tłumaczenia a ty kochana Wygnanko zasługuj zawsze dobrą muzyką na pochwały mamusi. W tej chwili właśnie śpiewa ktoś prześlicznie i przez

otwarte okno słyszę Moniuszkowskie „Szumią jodły na gór szczyty“, rzucam więc pióro i biegnę słuchać czardziejskiego słowika, zazdrosząc, że szczebiotać tylko umie wasza

Jaskółka.



ŻARCIKI.

Tylko wtedy.

Pan Gapski ustawicznie się jąka, więc z tego powodu ktoś go zapytuje:

— Czy pan się tak zawsze jąka?

— O, nie! — odpowiada Gapski — tylko wtedy, kiedy mówię.

Na lekcji historyi.

Nauczyciel: W której z bitew, stoczonych przez siebie zginął Gustaw Adolf?

— *Uczeń:* Hm... zdaje się w ostatniej.

Roztropny.

— Janie! odmieniłeś wodę złotym rybkom?

— Nie, proszę pani, bo nie wypily jeszcze dawnej.

— Do numeru niniejszego dołączamy dodatek powieściowy (zeszyt majowy), z początkiem powieści historycznej z XV-go wieku „Giermek Zawiszy Czarnego“ M. Zielińskiej. (ark. 1—6).

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

otrzymał NOWOŚCI na sezon bieżący

ANGIELSKIE, FRANCUZKIE i KRAJOWE

z czem się poleca względem Sz. Publiczności

oraz **Szkoła Kroju i Szycia**

A. TRZESZCZKOWSKIEGO

12—1

w Warszawie, Aleja Jerozolimska № 21, róg Brackiej.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wróżka leśna (wiersz z ryc.) przez Ig. B. — Przemowa Ojca Świętego Piusa X-go do młodzieży polskiej. — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Jak się bronią zwierzęta, przez E. H. (z 2 ryc.) — Kolej przez Saharę (z 2 ryc.) — H. Longfellow: «Excelsior» (wiersz z ryc.) — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeai'a (przekład M. G.) — Od Towarzystwa ogrodniczego. — Ze świata. — Skrzynka do listów. — Żarciki. — **Dodatek:** Ah-nigghi-to (przekład z ang. M. G.) (z 2 ryc. — dok.) — Baśń o kocie w butach, przez Zofię Zacharkiewiczównę. — List Bočka z Afryki, przez St. Krauza. — Sprawozdanie z figla arytmetycznego do nagrody. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

Доволно Цензурю. Варшава, 10 Мая 1905 г.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.